MOJA SZTUKA PROTESTU

ELFRIEDE JELINEK



ELFRIEDE JELINEK

MOJA SZTUKA PROTESTU

ESEJE I PRZEMÓWIENIA

Pod redakcją

AGNIESZKI JEZIERSKIEJ i MONIKI SZCZEPANIAK

Przekład

KAROLINA BIKONT, MAREK CIESZKOWSKI,
AGNIESZKA JEZIERSKA, ELŻBIETA KALINOWSKA,
TOMASZ OSOSIŃSKI, ARTUR PEŁKA, MONIKA SZCZEPANIAK,
LUCYNA WILLE i ANNA WOŁKOWICZ

WARSZAWA

Chcę płytkości

Nie chcę grać ani przyglądać się, jak grają inni. I nie chcę przyczyniać się do ich gry. Niech ludzie nie udają życia mówieniem. Nie chcę widzieć na twarzach aktorów odzwierciedlenia fałszywej spójności: zjednania z życiem. Nie chcę oglądać siłowej gry owego „dobrze natłuszczonego mięśnia" (Roland Barthes) z mowy i ruchu – tak zwanego wyrazu u wyćwiczonego aktora. Nie chcę, żeby ruch i głos współgrały ze sobą. Dziś w teatrze* coś zostanie ujawnione, jak, tego nie będzie widać, bowiem za odpowiednie sceniczne sznurki pociągać będzie się za kulisami. A więc maszyna pozostanie w ukryciu, aktor, otoczony sprzętami, oświetlony, będzie chodzić. Mówić. Będzie bez sensu naśladować człowieka, rozwarstwiać się na poziomie wyrazu i wyciągać sobie z ust inną osobę, o odrębnym losie, który zostanie przedstawiony. Nie chcę ożywiać obcych osób przed widzami. Bo ja wiem, nie chcę na scenie posmaku sakralności boskiego aktu tworzenia. Nie chcę teatru. Może chciałabym aktorów mówiących coś, czego żaden człowiek by nie powiedział, bo to przecież nie jest życie,

* „Theater Heute" (teatr dziś) – miesięcznik teatralny; nazwa ta została niemal niezauważalnie wpleciona w zdanie, ten zabieg jednak jest nie do oddania w przekładzie.

wykonujących same czynności po to, żeby coś przedstawić, ale bez tej całej głębi. Niech pokażą wysiłek. Niech mówią, co się dzieje, ale niech nigdy nie będą posądzeni o to, że dzieje się w nich coś zupełnie innego, odczytywalnego z mimiki twarzy i ruchu ciał. Cywile niech mówią na scenie!

A może pokaz mody, podczas którego ubrane kobiety wypowiadałyby wyuczone kwestie. Chcę płytkości!

Pokaz mody dlatego, że można by i wypuścić przodem same ubrania. Bez ludzi, którzy wytworzyliby systematyczną relację do wysnutej postaci! Jak ubranie, proszę posłuchać, przecież ono też nie posiada własnego kształtu; żeby go nabrało, trzeba je odlać na człowieku, który JEST formą dla niego. Bezwładnie zwisają zapadające się powłoki, aż ktoś nie wstąpi w nie i nie zacznie wyrażać się jak mój ulubiony święty, który jest tylko dlatego, że i ja jestem: ja i ten, którym mam być, my już nie wystąpimy. Ani pojedynczo, ani razem. Proszę mi się przyjrzeć dokładnie! Nigdy więcej mnie państwo nie zobaczą! Proszę żałować! Proszę żałować teraz. Święty święty święty. Któż to wie, które postaci mają w teatrze dokonać mówienia? Każę wystąpić przeciw sobie dowolnej ich liczbie, ale kto jest kim? Przecież nie znam tych ludzi! Każdy może być kimś innym, a przedstawić go może ktoś trzeci, identyczny z czwartym i nikomu to się nie wydaje dziwne. Mówi mężczyzna. Mówi kobieta. Przychodzi koń do lekarza i opowiada kawał. Nie chcę pana/pani/państwa poznać. Do widzenia.

Aktorzy mają tendencję do fałszywości, podczas gdy ich widzowie są prawdziwi. My, oglądający, jesteśmy konieczni, oni, aktorzy, nie. Dlatego ludzie na scenie mogą pozostać mglistym zarysem, niewyraźni. Akcesoria życia, bez których byśmy z powrotem wyszli, z torebkami klejącymi się do ścierpniętych zagłębień łokciowych. Aktorzy są tak samo niepotrzebni jak te torebki, zawierają, pośród używanych chusteczek, landrynek, paczek papierosów, poezję! którą się w nich wtłoczyło.

Zamazane zjawy! Produkty bez sensu, wszak sensem ich jest „produkt nadzorowanej wolności" (Barthes). Dla każdego zagrania na scenie jest określona pula wolności, z której wolno aktorowi czerpać. Oto kałuża wolności, a aktor, ależ proszę, proszę się obsłużyć!, sięga do soków, do cieczy wodnistej, do swoich sekretów. Nie ma w tym nic tajemnego. Obok przyklei smarka. Ale cokolwiek i ilekolwiek by zaczerpnął ze swojej puli gestów i chwytów, gadanie musi być imitowalne, ponieważ on i jemu podobni muszą być w stanie powtórzyć je tak samo. Jak ze stylową odzieżą: każda część jest zdefiniowana, lecz jej przeznaczenia nie ogranicza jakaś konkretna granica zastosowania. Sweter, sukienka też mają swoje pole do popisu, swoje otwory i podszewki. No a bezwzględnie konieczni jesteśmy my. Nie mamy przyzwolenia na podszywanie się. Ale ci na scenie mają, bo są ornamentami naszego życia, ruchomymi, nieumocowanymi ozdóbkami, usuwalnymi ręką Boga, reżysera. Który nagle jednym szarpnięciem zrywa cały kołnierz z człowieka i oklajstrowuje nas innym, bo ten mu lepiej leży. Albo zwyczajnie skraca łacha-człowieka, podpinając ranty, kierowniczyna oddziału sieci sklepów z zabawkami. Proszę nie narzucać się nam swoją substancją! Albo czymkolwiek próbują państwo upozorować substancję, jak psy, które okrążają się, ujadając zapamiętale. Kto jest szefem? Proszę sobie niczego nie uzurpować! Wynocha! Sensem teatru jest brak treści i pokaz mocy tych, którzy utrzymują machinę w ruchu. Tylko swoim znaczeniem reżyser rozświetla puste torby na zakupy, obwisłe nieszczelne worki o mniejszej lub większej zawartości poezji. Aż nagle niemające znaczenia znaczy coś! Kiedy pan reżyser sięgnie do wieczności i wyciągnie coś, co się miota. Wtedy morduje wszystko, co było, a jego inscenizacja, polegająca wszak na powtarzalności, staje się jedyna, wyłącznie możliwa. Zaprzecza istnieniu tego, co było, równocześnie cenzurując (moda!) to, co będzie, bo to on wyznacza przyszłość

w zakresie nadchodzących sezonów. Przyszłe zostaje oswojone, nowe uregulowane, jeszcze zanim nadejdzie. Mija rok, a gazety znów niefrasobliwie okrzykują nowe, nieprzewidywalne, że zastąpi stare, opatrzone. I od nowa zaczyna się teatr, to, co nadeszło, zastępuje i zbawia to, co przeszło, ale wieczne porównanie zmusza teraźniejszość, aby pochyliła się nisko nad byłością. I po to jest czasopismo teatralne. Żeby cokolwiek zobaczyć, trzeba było zobaczyć wszystko.

Ale wróćmy do naszych współpracowników: jak usunąć te plamy brudu z teatru, aktorów, żeby już nie wyciekali na nas, nie wstrząsali, to znaczy nie wytrząsali się na nas ze swojego opakowania zapewniającego wieczną świeżość? Bo to przecież oni, ludzie, przebierają się i przybierają atrybuty, pozwalając sobie na podwójne życie. Te osoby dają się zwielokrotnić, nic nie ryzykując, bo się nie pogubią. Nawet nie igrają z byciem sobą! Bo i tak zawsze są tym samym, nigdy podłoga nie usuwa im się spod nóg, nigdy nie wznoszą się ponad siebie. Pozostają w płochej nieważności. A wykluczmy ich jako inwentarz z naszego życia! A rozwałkujmy ich na płaski celuloid! Może zrobimy z nich film, który nie owionie nas już ich potem, symbolem pracy, od jakiej usiłowali uciec w luksusie swoich osobowości. Ale film – teatr, a nie film – film! Wziąć i nacisnąć! Słowo się rzekło, nic już się nie da zmienić i tym samym cichcem obchodzi wieczną powtórkę tego-co-nigdy-nie-jest-takie samo. Zostają wypędzeni z naszego życia i posadzeni na taśmy perforowane, które skomlą chwiejne melodie. Odklejają się od naszego postrzegania ciał i są płaszczyzną, która przewija się przed naszymi oczyma. Stają się niemożliwi i dlatego też wcale nie trzeba ich zabraniać, bo nie są już czymkolwiek, będąc niczym. Albo: do każdego spektaklu kompletuje się inną obsadę i powstaje za każdym razem coś zupełnie nowego. Mają w zapasie pulę możliwych zagrań, lecz, podobnie jak nasze ubrania, nic nie powtarza się

dokładnie tak samo. Tylko czas zagraża wszystkim nam swoim upływem! Teatr nie ma już racji bytu. Albo niezmienne powtarzanie zawsze tego samego (zarejestrowanie kamerą tajnego przedstawienia, które nam, ludziom, oglądać wolno wyłącznie jako pojedynczy SPEKTAKL WIECZNEGO POWROTU), albo nigdy żadnego powtarzania! Zawsze coś zupełnie innego! I tak nic nie trwa wiecznie, a teatr daje nam możliwość przygotowania się na przejście do czasowości. Sceniczni ludzie występują w przedstawieniach nie dlatego, że są czymś, lecz dlatego, że to, co w nich uboczne, staje się ich tożsamością. Ta ich szamotanina, te ich niezdarne, wyblakłe kwestie uporczywie wpychane im do gardzieli, skąd wychodzą kłamstwem podszyte i kłamstwem żywe, tylko po tym można ich odróżnić. Co więcej, zastępują postaci, w które mają się wcielać, i stają się ornamentem, odtwarzają odtworzonych na odtworzonych i tak w nieskończoność, a ornament staje się istotą. Istota zaś, z drogi! cofnąć się!, przechodzi w ozdobę, wrażenie, efekt. Nie dbając o prawdziwość, efekt staje się rzeczywistością. Aktor znaczy siebie samego i definiuje się sobą. Ja mówię: wynocha! Nie są prawdziwi. Prawdziwi jesteśmy tylko my. Jesteśmy większością tego, co istnieje, kiedy elegancko ubrani do teatru tkwimy w naszych twarzowych i wystawnych kreacjach. Niech nasze oczy zwrócone będą tylko na nas! Jesteśmy odtwórcami samych siebie. Nie chciejmy niczego poza nami! Wejdźmy w siebie i zostańmy w środku, przecież każdy ma nadzieję, że popatrzy na niego jak najwięcej oczu, kiedy paraduje po świecie, dostrojony przez czasopisma i ich zdjęcia jak się patrzy, jak dobrze naoliwiona maszyna. Stańmy się własnymi wzorami i przystrójmy śnieg i miedzę, i wiedzę, czym? Nami samymi! Tak będzie dobrze.

Tekst opublikowany w „Theater Heute", 1983

przełożyła Karolina Bikont